

Regina Golińska-Barancewicz

MÓJ BRAT

Feliks



Ilustracje Anna Łazowska

Pierwsze kolory

*T*eraz, kiedy myślę o wszystkim, co się wydarzyło, wiem, że siła marzeń i wiara w cuda mają ogromną moc, a magia i dobre czary naprawdę istnieją. Muszą istnieć, skoro jednak jesteśmy razem. Skoro widzimy, jak bezkres morza dotyka lazurowego nieba, a ciepły piasek przesypuje się nam przez splecione palce.

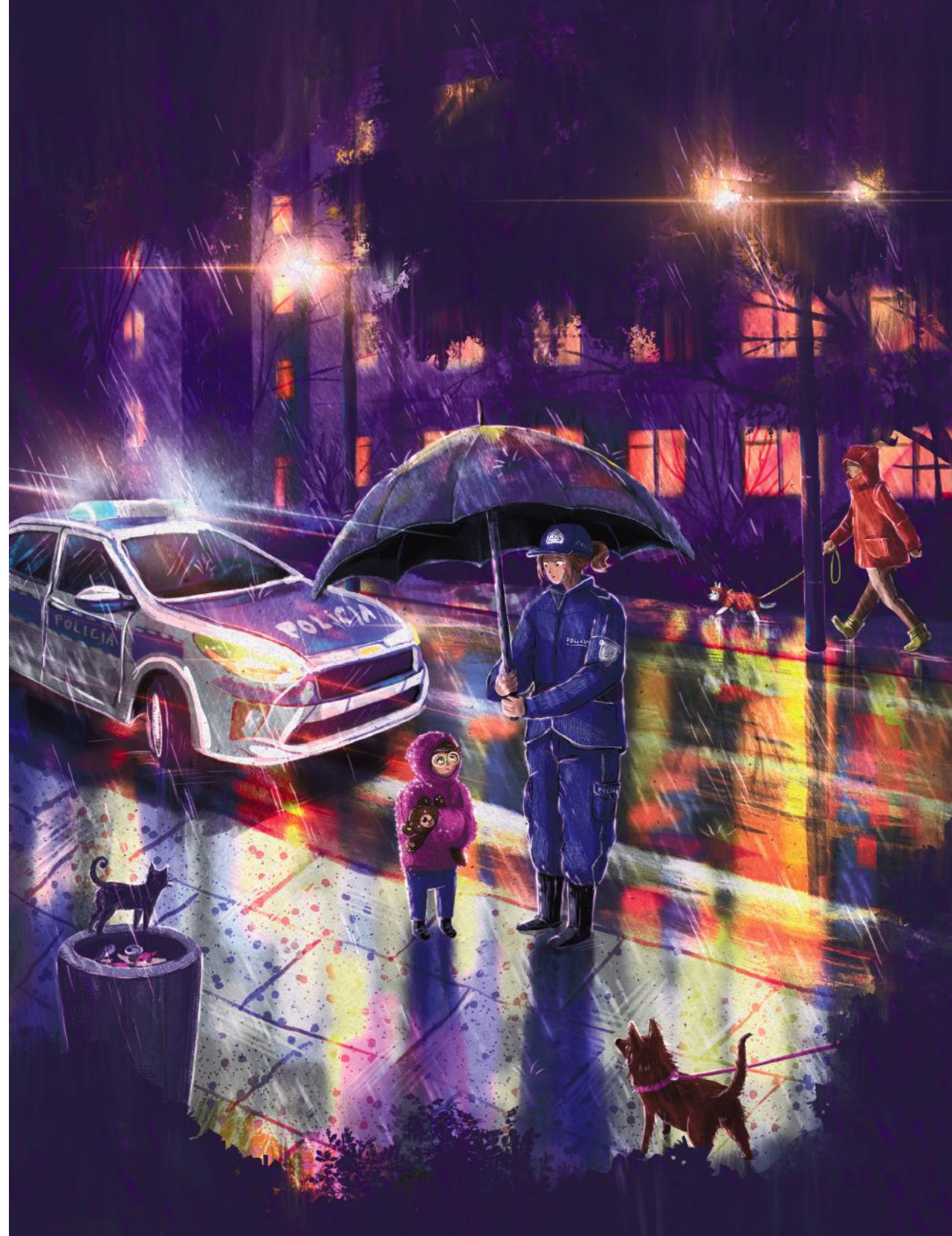
Nasza historia zaczęła się trzy lata temu, w zupełnie inny dzień – ponury, wietrzny, listopadowy. Taki, kiedy wydaje się, że słońce nigdy nie wyjdzie, a wszystko już zawsze będzie szło źle.

Miałem wtedy pięć lat i nic nie rozumiałem z tego, co się stało, pamiętam za to szczegóły. Tak wyraźnie, jakbym oglądał kolorowe zdjęcia: migające niebieskie światła policyjnego radiowozu, ogromny czarny parasol, którym pani policjantka osłaniała mnie przed zacinającym lodowatym deszczem, rudego misia z czerwonym serduszkem „na szczęście” od sąsiadki z parteru. Mam w pamięci momenty z podróży tym radiowozem. To, że żałowałem, że nie jedziemy na sygnale, to, jak pani policjantka mocno mnie

przytulała i głaskała po głowie, i to, jak okropnie głośno płakał mój brat. No ale on był wtedy zupełnym dzidziusiem, niedawno się urodził i potrafił tylko płakać, jeść i spać. Zresztą ja też płakałem. Tyle że po cichu. Tak jak się nauczyłem przez pierwsze lata życia.

Pamiętam też kolor domu, pod którym się zatrzymaliśmy. Wtedy był żółty z czerwonym dachem, ogrodzony białym płotem. Bardzo kolorowo wyglądał w tej listopadowej szarudze. Pamiętam, że pani, która otworzyła nam drzwi, miała długie włosy i od razu wzięła mnie na rękę. Wtuliłem się w jej sweter, puszysty jak futerko kota, a ona powiedziała: „Nie płacz, Piotruś. Twoja mama jest chora i nie może się teraz wami zajmować, ale będziecie tu pod naszą opieką. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze”.

I chociaż wtedy wydawało się to niemożliwe, dziś wiem, że miała rację. Wszystko skończyło się dobrze. Tylko strasznie długo musieliśmy na to czekać.



Pieć dobrych smoków i jeden zły

*P*rzez pierwsze dni w tym kolorowym domu usłyszałem wiele nowych słów, które dla pięciolatka nie znaczyły nic, ale brzmiały groźnie, a dorośli bez przerwy przetrzucali się nimi nad moją głową. „Pogotowie rodzinne”, „interwencja”, „opieka społeczna”, „prawa rodzicielskie”, „sąd rodzinny”, „ośrodek adopcyjny”, „trisomia 21”. Nawet powtórzyć było je trudno, a co dopiero zrozumieć.

Żeby się nie bać, wyobrażałem sobie, że to nazwy dobrych smoków. Do dziś pamiętam, że Sąd Rodzinny był dla mnie złotym smokiem z trzema uśmiechniętymi głowami, ziejącymi nie ogniem, tylko bańkami mydlanymi. Opieka Społeczna była małą wesołą smoczycą z tęczowymi skrzydłami motyla, Ośrodek Adopcyjny – potężnym, łagodnym smokiem z głową kota i skrzydłami z waty cukrowej, a Trisomia 21 – smoczą wróżką podobną do skrzydlatego elfa z lśniącymi skrzydełkami.

A kiedy już wymyśliłem sobie tę Krainę Dobrych Smoków i oswoiłem dzięki nim największy strach, powoli zacząłem się dowiadywać, co naprawdę oznaczają ich nazwy.



Najpierw dowiedziałem się, że Pogotowie Rodzinne w świecie ludzi to wcale nie superszybki smok świecący na czerwono i ratujący dzieci z kłopotów, tylko miejsce, w którym właśnie się znalazłem – normalny dom z rosołem i szarlotką, kotem, psem i chomikiem, zabawkami i książkami, ciocią i wujkiem, którzy opiekują się dziećmi.

Takimi dziećmi, które przez jakiś czas nie mają przy sobie swoich rodziców. I tych dzieci może być dużo – nas było pięcioro – ja, mój brat, mała Natałka i dwóch starszych chłopców – Kuba i Antek. Mieszkała tu też Ania, ale ona była prawdziwą córką cioci i wujka, miała piętnaście lat i dużo wiedziała. To właśnie od niej dowiedziałem się, że nie można tu być na zawsze, tylko na trochę. Dopóki nie wrócimy do swojego domu albo dopóki inni ludzie nie będą chcieli być naszymi nowymi rodzicami. Bo może być tak, że ten dobry smok, co ziejże bańkami mydlanymi, czyli Sąd Rodziny, postanowi, że dziecko nie może być samo na świecie, a jego rodzice nie potrafią albo nie mogą się już nim opiekować, więc trzeba mu znaleźć nową mamę i nowego tatę. Wtedy do rzeczy bierze się potężny, łagodny smok ze skrzydłami z różowej waty cukrowej i wesoła tęczowa smoczyca i szukają dziecku tych nowych rodziców. Czasem po całym świecie. I prawie zawsze znajdują.

To wszystko brzmiało dobrze i bardzo mnie uspokoiło.

Z pierwszego dnia w naszym nowym domu też pamiętam tylko niektóre szczegóły: jak leżę w łóżku z pościelą



w dinozaury, na poduszce mruży mi bardzo kudłaty kot, a ta pani z długimi włosami trzyma mnie za rękę i coś mi śpiewa. I to było superśmieszne, bo ten kot mruczał głośniej niż ona śpiewała. I taka lampka nocna w kształcie księżycyca na ścianie świeciła się całą noc. W moim domu takiej nie miałem, a bardzo boję się ciemności. Na łóżku obok

spała ta mała Natałka i to też było fajne, bo nie lubię być sam. A w domu często byłem sam w nocy.

Na drugi dzień, kiedy już przestałem płakać, rozejrzałem się uważniej po miejscu, do którego trafiłem, i zaczęło mi się podobać. Pani w kocim sweterku miała na imię Magda, wszystkie dzieci mówiły do niej „ciociu”, a do jej męża Jacka – „wujku”.

Ciągle było coś do jedzenia i było ciepło, nie musiałem być w kurtce, jak w domu.

I na obiad była zupa, kotlety i surówka, a nie chleb. Rano Ania, Kuba i Antek szli do szkoły, wujek Jacek do pracy, a ja, mój brat i Natałka zostawaliśmy z ciocią Magdą.

Pomagaliśmy cioci zajmować się moim bratem, Natałka podawała pieluszki, a ja butelkę z mlekiem, ciocia się z nami bawiła i chodziliśmy na spacer z pieskiem. Bo oprócz tego kudłatego kota był tu też malutki strachliwy piesek. Nazywał się bardzo dziwnie – Fenrir. To wujek na przekór dał mu takie imię – ogromnego, groźnego wilka z nordyckiej legendy. Wujek zresztą znał dużo bajek i wieczorem zawsze nam coś czytał albo opowiadał. A ciocia z nami rysowała i malowała farbami. Podobało mi się to, bo w domu nie miałem kredek ani książek. Ale najlepsze tutaj było to, że nikt mnie nie bił. Nigdy i za nic.

Tak, to był czas, kiedy zacząłem być szczęśliwy i spokojny. Zacząłem nawet marzyć, że ten potężny, dobry smok ze

skrzydłami z waty cukrowej lata już po świecie i niedługo znajdzie dla mnie i mojego brata nowych rodziców i własny dom. Taki już na zawsze. Ale wtedy nie wiedziałem jeszcze dwóch ważnych rzeczy: że dobrej smoczej wróżki podobnej do elfa, którą dorośli nazywają „Trisomią 21”, ludzie bardzo się boją i w ogóle nie chcą się z nią spotykać. I że tak naprawdę to nazwa choroby, której nie można wyleczyć.

Druga ważna rzecz była taka: w mojej Krainie Dobrych Smoków żyje jeden smok, który wcale nie jest dobry. Jest bardzo zły. Pokryty czarnymi łuskami, ma groźne spojrzenie i ziejże lodowatą parą. Dorośli nazywali go Rozdzielanie Rodzeństw. Ale o nim miałem się dowiedzieć dużo, dużo później. Wtedy, kiedy już wiedziałem, że kocham mojego brata z trisomią najbardziej na świecie.